Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Cena 25 gr.

PŁOMIEŃCZYK

CZASOPISMO

„Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka“. *ADAM SKWARCZYŃSKI*

ROK I WARSZAWA, MARZEC 1937 NR 1

NARODZINY PISMA

Gdy na rynku wydawniczym ukazuje się pierwszy numer nowego pisma, nieuchronnie spotkać się ono musi z wątpliwościami i z zapytaniem: poco się zjawia i w imię czego? Gdy pismo jest organem stronnictwa lub grupy politycznej, gdy zamieszcza swoje wyznanie wiary i adres sekretariatu, sprawa jest jasna: pismo powstało dla werbowania nowych członków danego stronnictwa lub grupy. Gdy jednak powstaje zwykła placówka publicystyczna i w dodatku całkiem wyraźnie nie obliczona na zysk, wszystkie wątpliwości podnoszą się ze zdwojoną mocą.

Czyż bowiem bogata kolekcja już istniejących czasopism nie wyczerpuje bez reszty całej gamy wszystkich możliwych kierunków społeczno-politycznych? Czy w tym barwnym wachlarzu istnieje chociażby jeden prąd społeczny, nie posiadający dotąd swego prasowego odbicia? Czy ci inicjatorzy naprawdę nie zdają sobie sprawy z przesyconej mądrością wieków zasady, że wszystko to już było, a co gorsza — że wszystko to już jest?...

Wątpliwości tych nie rozwiązuje zazwyczaj nawet najbardziej misternie skonstruowana deklaracja wstępna. Nikomu dziś nie przemawia zbytnio do przekonania ani zapowiedź „wnoszenia nowych wartości“, ani „wypracowywanie programu“, ani „szukanie nowych dróg“, ani chwalebne zamiary stania się „kuźnią myśli i czynu“. Nie wzbudza też dziś większej sympatii ani zapowiedź „pracy dla Państwa“, ani „walki o ideę mocarstwową“, ani „obrony interesów świata pracy“ itp. Zbyt często w ostatnich latach nadużywano tych słów przy dźwięku trąb i puzonów, zbyt różną była atmosfera kulis od paradnych dekoracyj frontu, zbyt wiele było związanych z tymi hasłami zniechęceń i rozczarowań...

W decyzji każdego grona osób, zakładających ten czy inny ośrodek pracy publicznej i legitymujących się wyłącznie swoim poczuciem obywatelskim, tkwi niewątpliwie pewien pierwiastek irracjonalny. Nie da się w sposób obiektywny uzasadnić tej wewnętrznej siły, która pcha ludzi do publicznej działalności, dając im głębokie przekonanie, że praca ich jest konieczna, dobra i pożyteczna. Można natomiast z całą ścisłością ustalić, w jakich okolicznościach będą występowały te objawy w każdym społeczeństwie, składającym się z myślących i aktywnych jednostek. Z całą pewnością nie będzie to miało miejsca w narodzie, mającym powszechną świadomość swoich przeznaczeń i dróg rozwoju. Tam, gdzie ziemia drży od tupotu kolumn, maszerujących ku wytkniętemu celowi, gdzie mądrze skoordynowany wysiłek mózgów i ramion przybliża z dniem każdym realizację ideału narodowego, tam nie ma podatnego gruntu do powstawania licznych klubów dyskusyjnych lub trybun prasowych, mogących spowodować przerost refleksji nad czynem.

Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa tam, gdzie czynione są pierwsze dopiero wysiłki, aby położyć kres stanowi dekompozycji form i pojęć. Gdzie linia demarkacyjna między światopoglądami walczących stron jest płynna i nieuchwytna. Gdzie za przyjaciół i współwyznawców uważani są ludzie, których wszystko powinno dzielić, a nic łączyć. Gdzie po obu stronach barykady stoją przeciwnicy, mający wspólne de facto wyznanie wiary. Gdzie wreszcie niezbadanym zrządzeniem losu naród został postawiony w pewnej chwili na rozstajnych drogach historii z kategorycznym nakazem „wybieraj“!...

Społeczeństwo polskie w dobie obecnej nie może się uskarżać na nadmiar sprecyzowanych i powszechnie uznanych prawd politycznych. W ciężkich doświadczeniach wzbogaca ono dopiero swój arsenał żelaznych prawd życia państwowego. Myśl polska na wielu polach błąka się jeszcze po omacku, ze wszystkich stron migocą jeszcze błędne ogniki, wiodące ku topielom lub urwistym przepaściom. W tych warunkach musi być uznana za pożyteczną każda próba wniesienia systematyki do splątanego gąszczu poglądów i doktryn, każda próba przyjścia z sukursem tym, co myśl polską starają się wyprowadzić na jasny gościniec. Jeżeli więc faktem jest, że z tych czy innych przyczyn wytworzyło się w Polsce owo jedyne w swoim rodzaju kłębowisko poglądów i pojęć, to niechże się weźmie młoda myśl do rozplątywania tego fatalnego kłębka! Niech cierpliwie i pracowicie zacznie oddzielać ziarno od plewy,

oliwę od wody, szlachetny kruszec od gnoju i mierzwy. Niech ostrym pługiem przejedzie się po zachwaszczonym ugorze, odrzucając na stronę zmurszałe rumowiska i spróchniałe drewno. Niech badawczym okiem przyjrzy się zastygłym w szlachetnej pozie trybunom i prorokom, aby się przekonać, czy to nie koturny, nie maski i nie... próchno?... Niech przyłoży do zjawisk życia zbiorowego miarę zdrowego rozsądku, fachowej wiedzy i uczciwego poczucia narodowego. Jeszcze żadne społeczeństwo nie wyszło dotąd źle na robieniu użytku z tych darów. Nie bójmy się procesu samodzielnego myślenia. Ostatecznie, tym się różni człowiek od tresowanej małpy.

Nie należy, rzecz prosta, przypuszczać, że zadaniem ośrodków młodej myśli winno być gorączkowe „wypracowywanie programu" na własną rękę. Złudzeniem byłoby przypuszczać, że prawdę życia polskiego da się wyszperać w grubych foliałach, że jeszcze jeden zbawczy program zjawi się w wyniku wgryzania się w księgi lub kompilacji światopoglądów i doktryn. Program wielkiego odrodzenia narodowego nigdy jeszcze nie powstał „ani z czarodziejskich badań, ani z rozwiązania zadań". Prawda życia polskiego jest bowiem przeraźliwie jasna dla wszystkich, którzy chcą i umieją patrzeć i słuchać. Mniejsza tu o szczegóły, mniejsza o terminologię Lecz właśnie dlatego, że prawda ta jest zbyt jasna, jest ona zbyt niewygodna dla wielu. I dlatego prowadzony jest zaciekły koncentryczny atak, ażeby tę prawdę przesłonić, rozdrobnić lub wypaczyć.

Gdybyśmy byli małym narodem, położonym na uboczu od wielkich szlaków historii, gdyby nasz los nikogo specjalnie nie obchodził, gdybyśmy nie mieli naszych własnych tradycyj politycznych, być może łatwiej moglibyśmy wówczas czytać w tajemnej księdze naszych przeznaczeń. Być może nie przynosiłby wówczas tak obfitych owoców ów proceder fałszowania narodowej prawdy.

Ale jesteśmy narodem zbyt wielkim. Leżymy na samej granicy dwóch światów i dwóch kultur. Posiadamy zbyt bogatą tradycję historyczną. Obciąża nas fatalne dziedzictwo nieznanych innym narodom powikłań wewnętrznych. Mamy zbyt wiele obcych elementów w swym organiźmie. Dla zbyt wielu potęg jesteśmy solą w oku przez sam fakt swojego istnienia. I dlatego tak zaciętym jest atak na naszą kulturę, na naszą psychikę, na naszą świadomość narodową. I dlatego tak trudną jest walka w ich obronie.

W walce tej znajdzie się miejsce dla każdego uczciwego i rozsądnego obywatela. Znajdzie się miejsce tymbardziej dla każdego zespołu, złączonego wspólnym wyczuciem rzeczywistości i wspólną wizją Polski Jutrzejszej. Znajdzie się również miejsce dla każdej uczciwej placówki prasowej.

Jak baron Stein podciągał Prusy wyżej.

W roku bieżącym przypada 130-ta rocznica od czasu objęcia rządów Królestwa Pruskiego przez bar. Karola Henryka v. Steina. Za wyjątkiem historyków, nazwisko bar. Steina mało nappgół jest znane społeczeństwu polskiemu. Przełomowa w dziejach Europy epoka napoleońska wydała tyle błyszczących i świetnych postaci, firmament europejski błyszczał wówczas tyloma gwiazdami pierwszej wielkości, że kapiące od złota orszaki łatwo mogły usunąć w cień skromną postać pruskiego ministra.

Inaczej jest jednak w ojczyźnie Steina. Tam wyliczenie jego tytułów do sławy nie napotyka na żadne trudności. Jeden z twórców odrodzenia niemieckiego, reformator Prus po klęsce pod Jeną i Auerstadt, nieubłagany wróg Napoleona, jeden z pierwszych patriotów wszechniemieckich, prekursor i prorok zjednoczenia narodowego, entuzjasta i wizioner Cesarstwa Niemieckiego — takie są tytuły bar. Steina do honorowego miejsca w Panteonie Narodu Niemieckiego. Bar. Stein, któremu za życia danym było poznać gorycz niezrozumienia i niewdzięczności współczesnych, który na Kongresie Wiedeńskim przeżył tragedię rozwiania się swej wizji, a którego pomniki tkwią dzisiaj na placach miast niemieckich, nie może uskarżać się na niezrozumienie i niewdzięczność potomnych. Narodowy Socjalizm, który w wyniku wstrząsów dziejowych urzeczywistnił wiekowy sen Niemiec o zjednoczeniu, uważa dziś Steina za jednego ze swych poprzedników duchowych.

Ale nie tylko z tego tytułu warto jest zapoznać się bliżej z tą postacią. Nietylko dlatego, że idąc wstecz od Hitlera, dojdziemy właśnie do Steina. Istnieją pozatem w Polsce i to właśnie w chwili obecnej, jescze inne, szczególne ku temu przyczyny Jeśli bowiem prawdą jest, że historia jes. mistrzynią życia, to trudno znaleść w dziejach drugą taką postać i drugą taką epokę, któraby mogła dostarczyć tylu wymownych wskazówek i analogij.

Bar. Stein doszedł do władzy wówczas, gdy chwiać się i trzeszczeć zaczęła konstrukcja, zmontowana genialnie przez Starego Fryca. Gdy klęska pod Jeną była tylko przypieczętowaniem dysproporcji sił pomiędzy us rojem młodej, rewolucyjno-cesarskiej Francji a zmurszałą i robaczywą konstrukcją Prus. Bar. Stein był człowiekiem, który postawił sobie wówczas za cel *podciągnięcie Prus wyżej*. Był jednym z tych nielicznych, którzy mieli odwagę nazwać po imieniu istotne przyczyny słabości i upadku Prus. Był jednym z tych, którzy rozumieli, że bez jakiegoś wielkiego porywu narodowego, bez wielkiej mobilizacji sił społecznych, bez dokonania jakiegoś „lwiego skoku" na wyższy poziom, Prusy nie będą mogły nigdy stawić czoła zaborczej potędze.

Istnieją jednak ku temu powody natury bardziej, jeśli tak rzec można, europejskiej. „Wielkie Ministerium" Steina przypada na okres, gdy w Berlinie stał garnizon francuski, a król pruski rezydował w Królewcu, a nawet w Kłajpedzie. Był to okres największego triumfu Francji nad Prusami po ich klęsce militarnej, okres gdy, według słów Heinego, „Napoleon dmuchnął — i Prusy przestały istnieć". Gdy się studiuje ówczesną epokę i bada się sprawy, nad ktorymi łamała sobie głowę ówczesna dyplomacja, można bez trudu natknąć się na szereg dziwnie znajomych słów i pojęć. Pożółkłe karty not dyplomatycznych zaczynają przemawiać jakimś bardzo współczesnym językiem, poruszane zagadnienia budzą emocje nietylko historyków, lecz i ludzi, tkwiących po uszy w teraźniejszości, Saara, Nadrenia, kontrybucja pruska, rozbrojenie, ograniczone kontyngenty wojskowe, komisja kontrolująca, zagadnienie rewanżu, teoria „świstka papieru" — przecież to jest nasza epoka, w której obecnie żyjemy! Przecież to są nasze problemy, których ostateczne rozwiązanie zakryte jest jeszcze woalem przyszłości! Amator historycznych porównań mógłby znaleźć bez trudu w epoce Steina nietylko ówczesną Reichswehrę i reparacje, ale i ówczesnego gen. v. Seeckta, Ratenau a nawet... Stresemana.

W 1927 r. zaszedł w Niemczech drobny i mało znaczący, zdawałoby się, fakt. Z okazji 120-lecia „wielkiego ministerium" Steina urządzono w Niemczech obchody ku jego czci, wybito medal pamiątkowy i wypuszczono znaczki pocztowe z jego podobizną. Z blado-niebieskiego kawałka papieru patrzyła poważna twarz starszego człowieka o orlim nosie i ciężkim, mądrym spojrzeniu. Była to epoka Brianda i Stresemana, epoka udziału Niemiec w Lidze Narodów, planów Dawesa i Younga, Banku Wypłat Międzynarodowych w Bazylei i przygotowań do ewakuacji Nadrenii. Świat cały unosił się w zachwytach nad demokratycznymi i republikańskimi Niemcami, które pogodziły się z przegraną i chciały tylko „pokojowo" naprawić pewne drobne krzywdy na Górnym Śląsku i Pomorzu. W tym to właśnie okresie zaczęły nadchodzić z Niemiec listy, mające na kopercie znaczki z podobizną bar. Steina...

Ku honorowi Europy należy stwierdzić, iż znaleźli się ludzie, którzy potrafili ocenić właściwą wymowę tego faktu; którzy w małym znaczku dopatrzyli się bardzo wielkiego symbolu. A czy wiecie wy — pisało kilku publicystów francuskich — kim był baron Stein?

Czy wiecie, że dla Niemców słowo „Stein“ — to symbol rewanżu i zemsty? Czy wiecie, że był to człowiek, który po klęsce Prus ukuł oręż odwetu? Który był zaszczycony (on jeden!) specjalnym edyktem cesarskim, ogłaszającym go za wroga Francji? Który w 1812 r., po Moskwie i Berezynie, zdołał namówić Aleksandra I, wbrew opinji samego Kutuzowa, do przeniesienia wojny poza granice Rosji? Jeśli więc dzisiaj Niemcy urządzają ku jego czci akademie i biją medale, to czy może być wyraźniejsze odsłonięcie przyłbicy? Czy mogą być wątpliwościi co lepiej odbija istotne intencje Niemiec: czy popisy retoryczne Stresemana w Genewie, czy też ów skromny znaczek lub medal?...

Niestety, głos tych nielicznych jasnowidzów minął bez echa. Historja jest bowiem taką dziwną mistrzynią życia, która podobno nigdy jeszcze nikogo i niczego nie nauczyła...

* * *

Baron Stein wszedł po raz pierwszy do rządu pruskiego w 1805 r. Według własnych słów, przyszedł nie jako reformator, lecz jako „pierwszy prokurent do załatwiania spraw bieżących“. Możliwości skutecznego działania twórczej jednostki w ramach „Dyrekcji Generalnej“ były prawie żadne: ministrowie królewscy nie mieli nawet swobodnego dostępu do króla. Wszystkie raporty musiały być składane na piśmie i kierowane do Gabinetu Królewskiego — instytucji bez podstaw prawnych i bez odpowiedzialności, cieszącej się jednak de facto pełnią władzy. Gabinet zaś albo przedkładał te raporty królowi, albo i nie. Na tronie pruskim zasiadał zresztą wówczas Fryderyk Wilhelm III — najbardziej pospolita figura z całe dynastji Hohenzollernów. Król otaczał się zerami i nie znosił obok siebie żadnej wybitniejszej osobistości. Wszechwładne rządy sprawowały indywidua typu Beyme'a, Lombarda i Haugwitza. Najbliższym przyjacielem króla był generał v. Köckritz, którego tak scharakteryzował Stein w jednym ze swoich listów: „Spędził on całe życie w małostkowej atmosferze garnizonu w Potsdamie, gdzie zniesienie osobowości, służalczość i całkowite posłuszeństwo na modłę zakonników były mu wbite w głowę z całą surowością. W jaki sposób ten automat może mieć poczucie honoru i niezawisłości narodowej? W jaki sposób potrafi on zrozumieć, że w wielkim przesileniu naszej epoki te nieskończenie drogie wartości mogą być zachowane tylko za cenę wielkiego wysiłku i zaciekłej walki?..“*)

Nie szczędził farb Stein i dla odmalowania środowiska rządowego: „Nasi ministrowie, — pisze on do brata, — sprowadzeni są do roli referentów dla załatwiania spraw bieżących. Ich stanowisko nie cieszy się żadnym autorytetem. Nie istnieje żadna myśl przewodnia w załatwianiu spraw: jest to tylko bezładny zbiór dziecinnych błahostek. Nasze państwo przestało być państwem militarnym; jego funkcje sprowadzają się obecnie do ćwiczeń koszarowych i do zabawy w papierki“.

W takich oto warunkach wchodził do rządu przyszły wielki reformator Prus i nieubłagany wróg biurokracji...

* * *

W końcu XVIII i na początku XIX wieku państwo pruskie było w stanie chronicznego kryzysu. Dziedzictwo Wielkiego Fryderyka wciąż jeszcze przedstawiało się imponująco, ale baczne oko mogło bez trudu wykryć rysy i pęknięcia fundamentów. Genialnie obmyślana maszyneria szła już tylko siłą rozpędu, gdy zabrakło Wielkiego Zegarmistrza, który ją zmontował. Precyzyjnie zbudowany aparat kręcił się jeszcze, lecz wymagał kategorycznie nowego nakręcenia sprężyny. Najgorszym zaś było to, że aparat ów był święcie przekonany, że wszystko idzie jak najlepiej, i że należy tępić bez miłosierdzia jakobinów, którzy by się ośmielili podnieść rękę na uświęcone tradycje. Na wszystkie perswazje, na wszystkie apele do zdrowego rozsądku, znajdował się jeden uniwersalny argument: tak było za Fryderyka i tak ma pozostać!.

W tym przełomowym okresie dziejów naród niemiecki zdał egzamin dojrzałości. Geniusz jego wydał wówczas człowieka, który zrozumiał, że przyszły nowe czasy. Że na nic się nie przyda upieranie się przy starych formach, których celowość przekreśliło już życie. Że albo naród niemiecki mocnym zrywem wewnętrznym „podciągnie się wyżej“, albo być może, — na długie lata pożegna się z marzeniami o zjednoczeniu i istotnej niepodległości.

W umyśle Steina zaczyna się zarysowywać wizja wielkich rewolucyjnych reform, wypływających z narodowych właściwości germańskich, ale uwzględniających czynniki postępu, których chorążym była wówczas Francja. Gdy zawiodły wszelkie próby udoskonalenia maszyny, która się obracała w próżni, Stein składa swój słynny memorjał do króla.

„Względy i ludzie, którzy doprowadzili nas do brzegu przepaści, zepchną nas tam wkrótce. Ten, kto studiował z uwagą dzieje upadku monarchii francuskiej i sardyńskiej, znajdzie w tych dziejach usprawiedliwienie najbardziej tragicznych przewidywań.

Jeśli W. Kr. Mość nie zdecyduje się zaakceptować projektowanych zmian i będzie działała nadal pod wpływem swego Gabinetu, będzie Ona musiała doczekać się rozpadnięcia państwa pruskiego oraz rozwiania się szacunku i miłości swoich poddanych“.

Memorjału tego nie ośmielił się nikt przedłożyć do rąk królewskich... (d. c. n.).

Witold Ipohorski Lenkiewicz.

(* Const. de Grunwald. Stein, ennemi de Napoleon. Edition Bernard Grasset, Paris 1934.

Deklaracja.

Deklaracja płk. Koca, (a w szczególności podjęta na jej podstawie akcja organizacyjna, posiada tyle aspektów i jest brzemienna tyloma konsekwencjami, że szczegółowe jej omówienie odkładamy do następnego numeru. Wytworzenie się pewnej perspektywy jest tu tymbardziej wskazane, że deklaracja ta stanowi niewątpliwie tylko fragment wielkiego planu działania, którego właściwa wymowa zacznie się dopiero uwypuklać. Sucha zaś analiza tekstu byłaby tu tak samo niewystarczająca, jak niewystarczającym byłoby formowanie wniosków o dynamice i siłach żywotnych jakiejś religii jedynie na podstawie jej strony dogmatycznej.

Stwierdźmy na tym miejscu tylko kilka momentów najbardziej istotnych. Pierwszym niespornym faktem jest, że nikt właściwie nie zakwestionował punktu wyjścia deklaracji płk. Koca — potrzeby szybkiego zjednoczenia Narodu. Drugim takim faktem jest, że żadne z ugrupowań, stojących na gruncie narodowo-państwowym, nie zaatakowało na serio tez, zawartych w Deklaracji. Jak na polskie stosunki, jest to już bardzo dużo.

Ale istnieje również nie mniej niesporny fakt, że deklaracja płk. Koca nie wszystkich zadowoliła na sto procent i że w szeregu wypadków wywołała ona mieszane uczucia i nastrój wyczekiwania na coś jeszcze. W odniesieniu do ideowych przyjaciół płk. Koca jest to zjawisko tak charakterystyczne, że warto jest poświęcić mu parę chwil uwagi.

Nie omylimy się chyba zbytnio, stwierdzając, że przyczyną owego niepełnego uczucia satysfakcji jest wiekuiste przeciwieństwo Rozumu i Serca. Pojęcie „Jedności Narodowej posiada wszędzie swój specyficzny „klimat“, wszędzie budzi pewne szczególne emocje, wszędzie porusza ukryte głęboko struny. Wszędzie, a szczególnie w Polsce. Do serca polskiego zawsze znajdzie drogę hasło: „Wszyscyśmy jednej matki synowie“. I dlatego właśnie w Polsce kojarzy się ono szczególnie silnie z pojęciem powszechnego braterstwa, powszechnego porywu i entuzjazmu, wzajemnego wybaczania sobie win, bicia w dzwony i atmosfery „kochajmy się!“...

Zamiast tych wszystkich, chwytających za serce akcesoryj —

przemówił zimny Rozsądek. Przemówił trzeźwo, logicznie i być może — nawet za dobrze. Umysłowość ludzka nie lubi rzeczy zbyt logicznych i niespornych, których nie można „zaczepić“. Nie lubuje się ona zbytnio w programach, którym to tylko można zarzucić, że oprócz zawartych w nich prawd a, b i c, istnieją jeszcze prawdy inne, nie wykluczające, lecz uzupełniające prawdy podane.

Nie będziemy z tego tytułu rozdzierać szat i wróżyć niepowodzenie akcji. Dzieła ludzkie, zbudowane na fundamencie rozsądku, mają zazwyczaj dłuższy żywot od zainicjowanych słomianym ogniem szlachetnego porywu. Jeśli się chce zbudować trwały gmach na zabagnionym terenie, należy brać się do rzeczy z rozsądkiem, na trzeźwo, po inżyniersku. I złą przysługę odda narodowej sprawie ten, kto będzie gromadził sztucznie kamienie na drodze, wiodącej ku konsolidacji. I bez tego jest tych kamieni aż nadto dużo.

Rzecz prosta — nie wystarczy tu tylko sam rozsądek. Rzeczy naprawdę wielkie i trwałe udawały się zazwyczaj tylko wówczas, gdy w tworzeniu ich brały udział i „zimny rozsądek“ i „gorące serce“. Jedność narodowa będzie osiągnięta, jeśli na apel odpowie chór gorących serc, przepojonych wiarą w słuszność podjętego dzieła.

I jeszcze jedno. Powodzenie każdej sprawy zależy przede wszystkim od Człowieka. Niema takiej rzeczy, którejby nie można było zepsuć i skompromitować. Nasze własne doświadczenia mówią nam o tym, aż nadto dobitnie. W każdym bowiem zjawisku społecznym centralnym punktem był i pozostanie zawsze człowiek. To właśnie miał na myśli wielki psycholog i znawca duszy zbiorowej Adam Skwarczyński, gdy pisał: „Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka. Tej budowy nie zaczniemy wznosić samym umysłem, samym myśleniem, samymi programami. Budowa ta bowiem odbywa się przez wyrabianie charakterów i moralności, a te wartości można tylko wypraktykować“.

PIERWSZY KROK

Kiedy pod naporem światowego kryzysu ekonomicznego trzeszczały wiązania naszego życia gospodarczego, mało kto w Polsce zdawał sobie sprawę, że wstrząsy te są rezultatem wielkich przemian, zachodzących na szerokim świecie i zapowiedzią dalszych przeobrażeń o doniosłych skutkach.

Brak było w Polsce ludzi mających decydujący wpływ na sprawy publiczne, którzy by posiadając biegłość w rzeczach gospodarowania, potrafili w czas ocenić sytuację i ustalić właściwą orientację w płaszczyźnie zagadnień polskiej ekonomiki. Ci, co przez ostatnie lata ster władzy trzymali w swych rękach, wyrośli z walki orężnej lub działalności politycznej; w większości wypadków obce im były zawiłe i poplątane problemy gospodarcze, które raz po raz przy akompaniamencie socjalnych pomruków stawały na drodze. Nie mając w sobie dostatecznego wyczucia i zrozumienia tych zjawisk, łatwo ulegli gasnącym, ale wciąż jeszcze sugestywnym wpływom wiary w trwałość liberalnego porządku gospodarczego na świecie.

Z tej dezorientacji i z tej obawy działania w nieznanym terenie wyrosła sławetna koncepcja „przetrwania“, oparta na koniunkturalnym potraktowaniu kryzysowych paroksyzmów i na przeświadczeniu, że rychła poprawa zagranicą przyniesie ulgę i podniesienie się poziomu życia polskiego. A tymczasem na szerokim świecie zachodziły fakty krzyżujące założenia, na których oparto tę koncepcję. Gospodarstwo światowe nie zdradzało tendencji odrodzenia w klasycznym, liberalnym stylu. Przeciwnie, rosły na sile i znajdowały swój wyraz w realizacji dążenia do tworzenia odrębnych organizmów, opartych na zasadach gospodarki narodowej.

Brak wyrobienia i doświadczenia w dziedzinie gospodarczej, brak śmiałej i poważnej myśli ekonomicznej w Polsce sprawiły, że trzeźwość poglądów na sytuację została zaćmiona przez sugestię „przetrwania“. Przyczyny natury wewnętrzno-politycznej pogłębiły jeszcze ducha pasywizmu, aż pod naporem konieczności ujrzeliśmy okrutną prawdę naszego położenia. Ujrzeliśmy niebezpieczeństwo, jakie płynie z rosnącego wciąż potencjału wojennego i gospodarczego naszych sąsiadów ze wschodu i zachodu. Uczuliśmy sie zagrożeni i to dopiero otworzyło oczy na ten oczywisty fakt, że nasza egzystencja narodowa bardziej, niż kiedykolwiek zawisła od pomnożenia naszych sił gospodarczych i możliwości obronnych. Poczęliśmy pojmować, choć z dużym opóźnieniem, że jako kraj zacofany ekonomicznie, nie mamy żadnych szans rozwoju w układzie liberalnym, który nadal utrzymałby nas w niekorzystnych formach biernego kapitalizmu, czyniąc z nas rezerwat taniego robotnika i źródło niektórych surowców za psie pieniądze dla krajów zachodnioeuropejskich i zamorskich, rynek zbytu dla obcego przemysłu, kolonję dla eksploatacji i wielkich zysków międzynarodowego kapitału. I dlatego nie mamy żadnego powodu żałować, że stosunki gospodarcze na świecie układają się inaczej, niż według recepty starego Smitha.

Zrozumieliśmy, że wszystkie względy socjalne, militarne i geopolityczne nakazują dokonać wielkiego wysiłku w kierunku zmiany naszej struktury gospodarczej. Dziś już niema w Polsce uczciwie poważnie myślących ludzi, ktorzyby negowali konieczność takiej strukturalnej przebudowy. Wyjątek stanowić mogą jedynie obrońcy korsarstwa ekonomicznego, żerującego jeszcze w dzisiejszych warunkach słabości gospodarczej, albo doktrynerzy różnych odcieni, traktujący sprawę bez liczenia się z rzeczywistością polską i nakazami racji stanu.

Nie skrystalizowały się jeszcze w dostatecznej mierze poglądy na zakres formy i tempo tej przebudowy i pod tym względem istnieją jeszcze różnice, które jednak w niedalekiej przyszłości winny ulec niwelacji, aby umożliwić znalezienie jaknajszerszej platformy wielkiego programu gospodarczego na najbliższe dziesięciolecia. Jest to sprawa kapitalnego znaczenia i od jej postawienia zależy w lwiej części nasza przyszłość, jako narodu i państwa.

Urzeczywistnienie hasła przebudowy strukturalnej musi przynieść w swych bezpośrednich skutkach wciągnięcie szerokich mas polskich w orbitę aktywności gospodarczej, musi włączyć do procesów produkcji i usług te miljonowe rzesze, dzisiaj bierne ekonomicznie, żyjące w warunkach nędznej wegetacji materialnej i po za nawiasem zaspokojenia potrzeb kulturalnych.

Zmiana obecnego stanu rzeczy, wyrażającego się w stwierdzeniu, że „Polak pracuje za pół, a je za ćwierć Europejczyka“, wymaga takiego przestawienia różnych elementów naszego życia, aby umożliwić zwiększanie wytwarzania i spożycia. Postulat ten nie da się urzeczywistnić bez intensywnego uprzemysłowienia i bez wyposażenia kraju w liczne urządzenia, konieczne do nowoczesnego gospodarowania, których brak w dotkliwy sposób obniża naszą zdolność produkcyjną i hamuje konieczny przyrost dochodu społecznego.

Pierwszy krok w tym kierunku został zrobiony. Opracowanie przez Rząd planu inwestycyjnego i uchwalenie go przez izby ustawodawcze uznać należy za moment przełomowy w dotychczasowej bierności. Bez przesady można tu użyć tego określenia, gdyż po raz pierwszy od wielu lat został wytknięty plan, ***pomyślany jako narzędzie reform strukturalnych*** na dłuższą metę, ułożony z uwzględnieniem słusznej hierarchii celów i środków.

Czteroletni plan inwestycyjny przewiduje wykonanie licznych robót, mających na celu stworzenie warunków dla powstania nowego rejonu przemysłowego pod nazwą Okręg Centralny Sandomierz, jak również usunięcie braków w podstawowych urządzeniach gospodarczych na innych obszarach kraju, wreszcie pomnożenie i ulepszenie tych urządzeń, które służą naszej ekspansji morskiej.

Projektowane inwestycje niewątpliwie nie uwzględniają wszystkich potrzeb gospodarczego uzbrojenia Polski. Ale w tym właśnie można upatrywać realność planu, że nie kusi się on wykonać wszystkiego na raz, lecz w ramach aktualnych możliwości z pośród pilnych i niezbędnych robót wybiera najbardziej istotne, możliwie najwszechstronniej oddziaływujące na przemiany strukturalne i najsilniej pobudzające wtórne impulsy.

Doraźne korzyści realizacji planu będą również bardzo dodatnie, gdyż wyraźnie zarysowująca się poprawa koniunkturalna dozna mocnych bodźców. Odbije się to pozytywnie na stanie zatrudnienia i rozmiarach produkcji.

Czteroletni plan inwestycyjny to tylko pierwszy krok, za którym muszą przyjść dalsze. Inicjator i twórcą planu sam dał zresztą temu wyraz w swoim expose, mówiąc: — „zanim moglibyśmy począć wykonywanie planu szerszego i dłuższego np. dziesięcioletniego, musimy przygotować odpowiednie warunki wstępne. Plan czteroletni winien stanowić wyraźny ***pomost do planu znacznie szerszego***“.

Konieczność rozszerzenia i intensyfikacji działalności inwestycyjnej napewno napotka na swej drodze liczne trudności w dziedzinie mobilizacji środków finansowych i rzeczowych. Kwestia ta skompli-

kowana i zróżniczkowana wielce, nie da się wyczerpać w kilku zdaniach, lecz w skrótach myślowych należy zaznaczyć, że w tym zakresie będziemy musieli *dać prymat produktywizmowi*, a w cien usunąć ortodoksyjne traktowanie problemu pieniądza. Wypadnie więc śmielej podejść do sprawy kredytu wewnętrznego i jego form, dostosowanych do owych wymagań podjętej aktywizacji gospodarczej.

Wykonanie małego planu czteroletniego, opracowanie wielkiego planu gospodarczego, jako dalszego etapu prac nad „dźwignięciem Polski wzwyż," staje się dziś jednym z naczelnych zadań na najbliższą przyszłość.

T. M.

REFLEKSJE I UWAGI.

TRIUMF INDOLENCJI.

P. Olga Wróblewska-Ustupska wygłosiła niedawno we Lwowskim Radio odczyt na temat doli nauczyciela wiejskiego. Zbyteczne dodawac, ze odmalowany przez nią obraz był wstrząsający: zwykła chłopska chata, w jednej połowie której tłoczy się i dusi do 70 dzieci — oto jak wygląda większość przybytków wiedzy we wsiach kresowych — i nie tylko kresowych. W takich oto warunkach pracuje, zdziera sobie gardło i nabawia się czarnej melancholii (plus gruźlica) bohaterska rzesza nauczycielstwa polskiego.

Rzecz prosta, na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy winni mogą przytoczyć całą litanię danych: że to niema pieniędzy, że bieda, że budżet, że jednak coś się robi, że nie odrazu Kraków itp. Możliwe, że jest w tym nieco racji. Ale zwykłego obserwatora-laika nie może to jednak powstrzymać od pewnych zasadniczych refleksyj. A mianowicie — ze mimo wszystko mamy tu do czynienia z przykładem jakiejś nieprawdopodobnej wprost indolencji. Bo jeśli w ciągu 19 blisko lat niepodległości nie potrafiliśmy wybudować sieci jakich takich przyzwoitych szkół ludowych, to znaczy całkiem po prostu, żeśmy **nie zdali egzaminu**. I na to nie pomogą żadne wykręty i żadne tłumaczenia.

Sprawa, zdawałoby się, jest bajecznie prosta. Skoro nas nie stać na duże murowane szkoły ze wszystkimi „szykanami", to dlaczego nie pobudowaliśmy małych, drewnianych szkół? Z takich sobie zwykłych sosnowych berwion mchem przetykanych, z jakich buduje się szkoły w Rosji i Skandynawii? I takim sobie zwykłym gospodarskim sposobem, za psie pieniądze, przy pomocy drzewa z Lasów Państwowych, szarwarku i miejscowych sił rzemieślniczych? Czegoż nam więcej trzeba było na naszą biedę i nędzę?...

Ale to byłoby, niestety, zbyt proste. Takie rozwiązanie mogłoby wywołać tylko uśmiech politowania na ustach kompetentnych speców. Bo u nas istnieją przecież **przepisy**, jakim warunkom winna odpowiadać nowowznoszona szkoła. Szkół nie ma, ale są za to przepisy. W myśl „dotyczących" instrukcji taka szkoła, to musi być koniecznie prawie kasztel. Bo my nie uznajemy przecież zasady, że wedle stawu grobla. My musimy mieć albo wszystko, albo nic. Albo tokule abisyńskie, albo pałace genewskie. Albo likiery spijać, albo pomyje żłopać. Albo w aksamity się stroić, albo gołym zadkiem **świecić**. A poza tym my musimy przecież imponować Europie!..

Ale odłóżmy żart na stronę. Istnieje mniemanie, że Polak podobno mądrzeje po szkodzie. W dziedzinie oświaty powszechnej trudno jest zabrnąć w większą szkodę, niż ta, w której siedzimy obecnie. Trzeba więc raz wreszcie wziąć się do rzeczy po gospodarsku. Lepiej późno, niż nigdy. A przede wszystkim, — trzeba za siódmą rzekę przepędzić wszystkich rzekomych realistów i kapłanów instrukcji, dzięki którym precz został wygnany zwykły zdrowy rozsądek. Bo ta zabawa w europejską Abisynię może nas zbyt drogo kosztować. Bo my nie mamy wreszcie czasu, do stu tysięcy kałamarzów i okólników!...

P. MATUSZEWSKI, LENIN I WYCHOWANIE GOSPODARCZE.

P. Ignacy Matuszewski, ex-minister skarbu, ex-naczelny publicysta gospodarczy oraz wierny i nieutulony w żalu rycerz zakonu św. Deflacji, wygłosił niedawno w Krakowie przemówienie na temat sytuacji gospodarczej Polski. Ponieważ p. Matuszewski należy do kategorii t. zw. „byłych" oraz ponieważ jest w opozycji do obecnego kierunku gospodarczego, więc z góry można było oczekiwać szeregu ciekawych momentów. Tak to już bowiem bywa zazwyczaj na świecie, że naprawdę ciekawe rzeczy można usłyszeć od człowieka, który, primo, ma bardzo mało do stracenia, a secundo — który się na coś naprawdę mocno rozgniewa.

Przeczucia okazały się słuszne. P. Matuszewski dał tym razem cudowną charakterystykę polskiego charakteru narodowego, rozpatrywanego od strony „gospodarczej". Charakter ten, według słów prelegenta,

> „czyni z posiadania przeciwstawienie uczciwości, z przedsiębiorczości — antytezę godności, z pracy fizycznej — synonim niższości, z handlu — synonim oszukaństwa, z przemysłu — synonim wyzysku, z finansów — synonim spekulacji, natomiast ze wszelkich zajęć opłacanych z kasy skarbowej — synonim ofiary dla Ojczyzny."

Słowa p. Matuszewskiego godne są wyrycia w marmurze tam wszędzie, gdzie zbiera się młodzież rozmyślająca nad wyborem zawodu. We wszystkich szkołach handlowych i ogólnokształcących. We wszystkich tych miejscach, gdzie schodzą się augurowie, ustalający polską doktrynę wychowawczą.

Polska znajduje się dzisiaj pod pewnym względem w sytuacji dość podobnej do tej, w jakiej znajdowała się Rosja Sowiecka w 1921 r. Wówczas to, przy końcu epoki wojennego komunizmu, z wyżyn sowieckiego Olimpu, padły z ust samego Lenina nieoczekiwane słowa: „Bolszewicy muszą nauczyć się handlować!"

Był to dosłownie grom z jasnego nieba! Gdyby cały wysoki Kreml moskiewski łącznie z Carem - Puszką i obradującym WCK'iem zapadł się nagle pod ziemię, a na jego miejscu uformowałoby się jezioro łabędzie — nie wywołałoby to większej konsternacji, niż te słowa z ust proroka i wodza marxizmu. Ale mimo to partia zrobiła posłuszne „w tył zwrot", a po pewnym czasie zamaskowała całkiem szczerze w rozmaitego rodzaju wniesztorgach, kombinatach i „chozrasczotach".

Sytuacja Polski jest dzisiaj dość podobna. Młode pokolenie polskie musi również za wszelką cenę **nauczyć się handlować**. Bez radykalnej zmiany stosunku młodzieży do handlu nie może być mowy o skutecznym wyzwoleniu się z niewoli gospodarczej. Nie może też być mowy ani o ekspansji zamorsko-kolonialnej, ani o spolszczeniu handlu, dopóki ideałem młodzieńca będzie nie wielka firma eksportowa w Gdyni, lecz państwowa posadka za 200 zł.

Zadanie to jest o tyle trudne, że Polska ma za sobą fatalną tradycję stuleci. Polska jest dosłownie jedynym krajem w Europie, gdzie dokonano illo tempore ponurego obrzędu wyklęcia bandery handlowej, gdzie poniewierano i wyśmiewano kupiecką wagę i miarę. Na wschód i na zachód od Polski wyrastały wielkie potęgi handlowe, kwitły hanzeatyckie miasta, rozwijał się Nowogród Wielki, tuż pod bokiem porastał w sadło i w pierze patrycjat gdański, a tylko w Polsce łącznie z triumfem politycznej bzdury wzięła górę antygospodarcza ideologia tępego hreczkosiejstwa. Wszystkie nasze obecne wewnętrzne bolączki i zmagania, wszystkie te „walki o polski stragan" mają swoje źródło w grzechach przeszłości, w fatalnej aberacji psychiki narodowej. Czas więc najwyższy sięgnąć do źródeł zła.

DAŁ NAM PRZYKŁAD MUSSOLINI...

Przestawienie zainteresowań młodzieży polskiej w kierunku gospodarczym nie będzie niewątpliwie rzeczą łatwą. Zbyt niedawne są jeszcze czasy, gdy byle darmozjad i hołysz, czepiający się pańskiej klamki, spoglądał z nietajoną pogardą na żydowinów i insze podlejsze stany, parające się handlem. Alę mimo to, jest to zadanie, które można i trzeba będzie podjąć i wykonać.

Widzieliśmy na własne oczy, co potrafił zrobić Mussolini z narodu romantycznych łapserdaków i leniów. Przed wojną abisyńską można było jeszcze mówić, że to wszystko jest humbug, puc i efekciarstwo. Że ostatecznie nie było rzeczą trudną zapędzić młodych baszybuzuków do faszystowskich kohort i nauczyć to bractwo maszerować w takt wesołej muzyczki. Że w podobny mniej więcej sposób tresują swoje konie b-cia Staniewscy w cyrku warszawskim, a nikt ich nie uważa za genialnych reformatorów psychiki końskiej.

Ale po kampanii abisyńskiej najwięksi przeciwnicy totalnych systemów musieli się jednak głęboko zastanowić. Tu nie chodziło bowiem wyłącznie o to, że brygady czarnych koszul szturmowały brawurowo masywy Tembienu, a La Disperata dokonywała ryzykownych ewolucji nad pałacem Jego Etiopskiej Mości. Próba ogniowa, przez którą przeszedł naród włoski, była znacznie poważniejszą. Zaborczym marzeniom Italii o wskrzeszeniu Imperium Rzymskiego przeciwstawił się wówczas solidarnie cały niemal świat. Nad Lemanem zapadły pamiętne uchwały ligowe, a na poparcie groźnego veto błysnęły paszcze dział stalowych pancerników Zjednoczonego Królestwa.

Naród włoski w odpowiedzi na to veto kazał się demonstracyjnie pocałować.... w Ligę Narodów. Cały zaś świat, na czele z dumnym Albionem, musiał po pewnym czasie propozycję tę... spełnić!

Otóż ten właśnie fenomen zdumiewającego hartu ducha w połączeniu z tężyzną fizyczną stanowi niezbity dowód, że eksperyment wychowawczy systemu udał się. Że naród, nawet chory i gnuśny, o ile tylko ma zdrowe korzenie, może być wyleczony i wychowany w pożądanym kierunku. Rzecz prosta — trzeba umieć do tego się zabrać. Jak — na to nie ma, niestety, gotowego przepisu. Możemy tylko zapewnić naszych licznych, pożal się Boże, nadwiślańskich „faszystów", że tu nie wystarczy tylko dryl, komenda, bicie polskich żydów i kolorowe pantalony. Że w autentycznym włoskim faszyźmie istnieje jeszcze pewne nieuchwytne i tajemnicze „coś"...

Co mianowicie? Niech odpowiedzą na to tak liczne obecnie w Polsce placówki studiów nad filozoficznym kamieniem prężności narodowej...

* * *

GHETTO A KONSTYTUCJA.

Podczas ostatnich debat sejmowych p. minister oświaty wypowiedział się przeciwko oddzielnym miejscom dla żydów na wyższych uczelniach. Domyślamy się, że odegrał tu rolę wzgląd na Konstytucję i na proklamowaną przez nią zasadę równości. W dyskusji pominięto jednak całkowicie wysunięty przez Wilno projekt oddzielnych ławek nie dla żydów, lecz dla tych, co nie chcą siedzieć z żydami. Zanalizujmy więc w zastępstwie parlamentu zgłoszony projekt z punktu widzenia i równości i Konstytucji.

Stwierdźmy przede wszystkim, że sami żydzi są w gruncie rzeczy jak najdalsi od ideału równości. Uważają siebie za naród wybrany, który ma otrzymać panowanie nad światem. Odnoszą się ze źle ukrywaną pogardą

do wszystkich gojów. W łonie własnego narodu nie uznają równości płci. Do żydowskich domów modlitwy mają dostęp tylko mężczyźni, kobiety zaś conajwyżej mogą siedzieć na galeryjce. I niech by spróbowały zejść na dół i usiąść obok mężów!

Po drugie — podstawową cechą ustroju demokratycznego jest prawo obywatela do nie siedzenia z tym, kto mu się nie podoba. W ustroju idealnie totalnym jest inaczej. Tam mówi się po prostu: „Obywatel numer taki a taki ma siedzieć, gdzie mu władza kazała i krzyczeć heil!“ W ustroju naprawdę demokratycznym każdy ma prawo powiedzieć: „Nie życzę sobie siedzieć z tym panem, bo mi się nos jego nie podoba. Bo taka jest moja pańska fantazja. Bo mi konstytucja tego nie zabrania“.

Zasada powyższa jest stosowana w życiu codziennym w całej rozciągłości. Jeśli ktoś nie chce jechać w wagonie z palącymi, ma przedział dla niepalących. Jeśli nie lubi zapachu dziegciu — może kupić bilet II lub I klasy. Jeśli nie chce jechać z żydami — może zakupić cały przedział. Jeśli nie chce jechać z nimi w tramwaju — może jechać taksówką. Jeśli nie chce siedzieć obok żyda w teatrze — może usiąść w loży. Jeśli nie chce tego samego w restauracji — może zamówić gabinet. Jeśli zaś vice versa żyd nie chce siedzieć obok goja — może zrobić to samo. Kiedy cadyk z Góry Kalwarii jedzie na kurację do Karlsbadu, wykupuje cały przedział, bo chce mieć koszerne towarzystwo. I to jest jego prawo. I nikt nie podnosi gwałtu, że jest tu obrażona i równość i konstytucja.

Powstaje więc zupełnie naturalne pytanie, dlaczego tego podstawowego demokratycznego prawa ma być pozbawiona właśnie młodzież akademicka? Dlaczego właśnie ona ma być zmuszona do siedzenia z tymi, którzy się jej nie podobają, mniejsza z tym, słusznie czy niesłusznie?...

Rzecz prosta, nie ma w tym fakcie nic zdrożnego. W ustroju demokratycznym każdemu wolno jest mieć swoje zdanie. Jednemu wolno jest zwalczać żydów, drugiemu wolno ich bronić. Wolno jest robić to zarówno z nadmiaru szlachetności, jak i za pieniądze, z głupoty, w imię doktryny lub z osobistej sympatii. Pod tym względem p. Profesor jest w całkowitym porządku.

Rzeczy ciekawe rozpoczynają się dopiero z chwilą, kiedy p. Profesor uważa za stosowne załamać ręce z powodu reakcji władz na okrzyki żydowskiego tłumu, który zapomniał w podnieceniu o swojej zwykłej ostrożności. Na łamach jednego z pism codziennych tak oto pisze p. profesor Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego:

> „Tam na dole pośród młodego tłumu, ktoś kiedyś w odruchu samoobrony zwymyślał napastników... Im nic, pozostali nieznani, owa osoba jednak poniosła karę za „obrazę narodu polskiego“. Ktoś inny przesadził w krytyce chwiejności urzędowej i ma za to tarapatów po uszy. Hola! Jeśli bijemy bezkarnie, to pozostawmyż bitemu przynajmniej prawo wymyślania“.

Innymi słowy: rżnij, Chaimku, na całego! Wymyślaj nie tylko napadającym bojówkarzom, ale daj sobie folgę w stosunku do całego Narodu! Pan Profesor ci przyklaśnie, a może i zawtóruje!

Pozwolimy sobie postawić do rozstrzygnięcia pytanie: czy p. prof. Kotarbiński ma prawo nazywać się Polakiem? Czy może być uważana za członka Narodu jednostka, dla której obcym i śmiesznym jest poczucie godności i honoru narodowego?

* * *

RŻNIJ, CHAIMKU NA CAŁEGO!

W sprawie zajść antyżydowskich na wyższych uczelniach uważał za stosownie zabrać również głos p. profesor Tadeusz Kotarbiński. Poglądy p. profesora na daną sprawę nie są zbyt oryginalne: mniej więcej to samo można przeczytać (o ile kto potrafi) w stołecznych organach p. n. „Noje Folkscajtung“, „Unzer Expres“ i „Warszewer Radio“.

* * *

WIELKA NOWINA.

W wielkiej mowie z okazji czterolecia rządów Narodowego Socjalizmu kanclerz Hitler obwieścił narodowi niemieckiemu wielką nowinę, że „naród i państwo polskie stały się rzeczywistością“.

Możemy zrewanżować się Panu Kanclerzowi nie mniej ważną i aktualną nowiną: Berlin leży nad Szprewą!

wil.

Młodzież szuka syntezy.

Młodzież współczesna jest utrapieniem. Młodzież współczesna budzi święte zgorszenie u panów niekoniecznie starszych, ale już dobrze myślących. Młodzież współczesna jest zarozumiała i krnąbrna. Chce ona mieć własny rozum i ruszać z posad... ministrów.

Młodzież współczesna, o zgrozo, politykuje. Interesuje się sprawami, zastrzeżonymi dla przyprószonych siwizną magów politycznych. Jest prymitywnie prostolinijna w swoich sądach i reakcjach. Chodzi na zebrania, na których się śpiewa nietylko „Gaudeamus“. Jest jaskrawo antysemicka i nacjonalistyczna. Nie boi się sprzeczności, które jej można zarzucić. Jest konserwatywno-rewolucyjna i anarchistycznie zdyscyplinowana. Twierdzi całkiem serjo, że chce zmienić porządek, istniejący od wieków. Eksmituje z Polski żydów hurtem i w detalu. Daje im do dyspozycji Palestynę, lub Księżyc. Uparcie nie chce z nimi siedzieć na jednej ławce. Często gęsto podstawia paletka pod strumienie ożywczej wody, którymi polewa ją społeczeństwo, aby lepiej rosła.

Już dosyć dawno zrobiono odkrycie, że klucz do zrozumienia młodzieży akademickiej znajduje się w szkole średniej. Że to właśnie tam, — pomiędzy dwumianem Newtona a metodycznym rozbiorem Pana Tadeusza, młodzież znajduje czas na zajmowanie się rzeczami, które „do niej nie należą“. Że to właśnie już tam należy ona do konspiracyjnych jaczejek i kółek, gdzie wchłania bezkrytycznie podawane jej prawdy, albo i nieprawdy. Że po wstąpieniu na Uniwersytet wybucha tylko całkiem jawnie to wszystko, co taiło się i kryło przed okiem nauczycieli i Pana Dyrektora, a o czem wiadomość tylko bardzo rzadko dochodziła do... Kuratorium.

Wytoczyć akt oskarżenia przeciwko młodzieży jest bardzo łatwo. Na upartego można udowodnić, że zadaniem jej jest uczyć się, a pozatym pracować przykładnie w organizacjach sportowych i kulturalnych. Można by udowodnić, jak niecelowe jest wybijanie dobrze zaasekurowanych szyb w sklepach b-ci Hirszfeld. Można by wykazać, jak zgubne deformacje psychiczne może wywołać przyzwyczajenie do operowania kastetem i mało rycerski napad w dziesięciu na jednego. Jak całkowicie sprzeczne jest z etyką chrześcijańską odbijanie wątroby swoim bliźnim albo łamanie im żeber.

Ale właśnie dlatego, że jest to tak łatwe — bronimy młodzieży! A raczej kierujemy akt oskarżenia pod innym adresem. Bo jeśli ktoś robi zarzut młodzieży, że idzie w złym kierunku, to musi się spytać: a co się zrobiło, ażeby szła ona inaczej? Co zrobiło w tej dziedzinie społeczeństwo, jako całość, i szkoła — jako jego organ?

Każdy niezrutynizowany pedagog musi przyznać z ręką na sercu, że dzisiejsza szkoła średnia nie zaspakaja aspiracyj i zainteresowań młodzieży. Nie daje ona sposobności do wypowiadania się na aktualne tematy, nie daje możności przedyskutowania jawnie i otwarcie pod kierownictwem i opieką pedagoga tego, co młodych boli i cieszy, czego oni oczekują. Młodzież ma swoje wątpliwości, marzenia, plany i... żądania. Życie tętni wokoło problemami, pełnymi emocji i sugestii. Młodzież styka się z nimi wszędzie: — w domu, u znajomych, w miejscach rozrywkowych i w szkole. Ulega wpływom ulicy. Czyta prasę, rozmawia ze starszymi. Na tej podstawie formuje swój światopogląd. A to wszystko ma charakter doraźny, przypadkowy, często bez głębszego podkładu myślowego i ideowego. Czy można wobec tego się dziwić, że wpływ wychowawczy szkoły jest tak minimalny? Że oblicze duchowe młodzieży kształtuje się pod wpływem innych czynników?

I wreszcie, traktując sprawę szerzej, czy społeczeństwo samo rozbite, samo w stanie dekompozycji, samo nie wiedzące, dokąd ma iść i w co wierzyć, ma prawo wymawiać młodzieży, że go nie naśladuje?

Jeśli przyznaje się ono samo, że zgubiło swój kompas przewodni, to czy może się zżymać, że młodzież szuka prawdy na własną rękę? Że idzie własną drogą, szukając jakiejś innej, tak lekceważonej przez realistów i mędrców „ideologii“, w której mogłaby zmieścić swoje aspiracje i swój ideał Polski Jutrzejszej?

Bo młodzież właśnie szuka syntezy. Szuka czegoś, co mogłoby powiązać w jedną całość wszystkie oderwane fragmenty. Czegoś, co nadałoby głębszy sens wszystkim codziennym poczynaniom i pracom. Co usprawiedliwiłoby wszystkie wyrzeczenia i ofiary dnia dzisiejszego.

Młodzież będzie maszerowała karnie w ordynku, ale musi wiedzieć, jaki jest cel tego marszu. Będzie prowadziła z entuzjazmem „pracę realizacyjną“, będzie budowała odbiorniki, kopała rowy i opiekowała się szkołami na kresach, ale musi mieć przekonanie, że jej wysiłki stanowią fragment jakiejś większej całości i jakiegoś większego planu. Nie byłaby ona młodzieżą, gdyby nie potrafiła myśleć kategoriami całości. Nie byłaby godną być kością z kości wielkiego Narodu, gdyby nie wyczarowywała dlań wizji lepszej przyszłości. Gdyby pogodziła się biernie z rzeczywistością. Gbyby odwróciła się tyłem do wielkich zagadnień, stojących przed Narodem, gdyby zamknęła egoistycznie oczy na jego zmagania, nędze i bóle.

I dlatego właśnie — bronimy młodzieży!

Maciej Wyszomirski

MAKIAWEL WIECZNIE ŻYWY.

Machiavelli, to w opinii ogółu przede wszystkim autor „Księcia", — książki dla jednych tylko perfidnej i perfidię zalecającej, dla innych — dzieła myśliciela, zadumanego nad nędzą ludzkiej natury, który był równocześnie namiętnym włoskim patriotą i humanistą. Dla niektórych Machiavelli, to także autor renesansowych komedyi o nieco frywolnej treści. Ale Sekretarz florencki i polityczny więzień w Bargello jest może przede wszystkim historykiem, który pracował długie lata przy warsztacie politycznym, znał jego mechanizm i mechanizm działania rządów i tłumów. Jest on także wybornym stylistą, który w zwartych, nienagannie logicznych zdaniach wyraża dzieje ludzkich zamiarów i swoje o nich spostrzeżenia.

Jego „Dzieje Florencji" to jedno z najświetniejszych dzieł nie tylko historycznych, ale i politycznych Włoch doby Renesansu. Na tle skrótu dziejów Italii umieścił Machivelli opowiadanie tym szczegółowsze, im bliższe mu były czasy o których mówił, o wydarzeniach zaszłych we Florencji od r. 1215 do śmierci Wawrzyńca Wspaniałego.

Były to czasy niezwykłe, barwne, burzliwe i pogmatwane, pełne tumultów ulicznych, przewrotów ustrojowych i krwi, zmagań i najazdów. W maleńkiej Florencji walczyły ze sobą zajadle wielkie i małe stronnictwa, a mieszczańskie domy zamieniano na fortece.

Machiavelli opowiada o tym wszystkim dokładnie, rzeczowo i pozornie beznamiętnie, ale wciąż pamięta o swej roli obserwatora natury ludzkiej, mędrca, wydzierającego przeszłości wskazania dla teraźniejszości. Każda z ośmiu ksiąg „Dziejów" zaczyna się od uwag o charakterze bardziej ogólnym. W przedmowie czytamy: *)

„Jeśli jaka księga może pożytek przynieść obywatelom, powołanym do rządzenia rzeczpospolitymi, to taka, która ujawnia przyczyny nienawiści i rozłamów w państwie... I jeśli historia jakiej bądź republiki może wpłynąć na nas, to przykład naszej własnej nauczy nas najwięcej...

Gdyż jeśli w jakim państwie były znaczne niesnaski, najbardziej zdumiewają florenckie spory: wiele bowiem republik, o których wiemy, zadowoliło się jednym zatargiem wewnętrznym, który, zależnie od okoliczności, owe państwo wzmocnił lub osłabił; lecz Florencja nie zaspokojona jednym — miała ich wiele".

Warto czytać Machiavella, ale nie wyłącznie „Księcia". Niezależnie od naszego sądu o poglądach historycznych, politycznych czy etycznych wielkiego pesymisty, warto wgryźć się w wyniki jego subtelnych obserwacyj człowieka rządzonego i rządzącego, wyniki sformułowane z dziwną prostotą, w słowach oszczędnych, z których najmniejsze jest pełnowartościowym wyrazem myśli i żadne nie może być zlekceważone.

Podajemy poniżej dwa fragmenty z „Dziejów Florencji" w przekładzie polskim, zawierające uwagi ogólne o *pożytkach płynących z racjonalnej polityki ludnościowej* i o skutkach walk wewnętrznych, zwłaszcza o charakterze społecznym.

„Wśród innych sławnych i osobliwie pięknych zwyczajów starożytnych republik i księstw, które zaginęły w naszych czasach, był i ten, dzięki któremu powstało wiele grodów i miast nowych. Żadna bowiem praca nie jest godniejsza doskonałego władcy i rzeczypospolitej dobrze urządzonej ani pożyteczniejsza prowincji, jak *wznoszenie nowych miast*, w których ludzie mogą się gromadzić dla dogodności obrony lub wykonywania rzemiosła. Dawniej z łatwością to czyniono, *zwyczaj mając posyłania nowych mieszkańców do krajów zdobytych lub niezamieszkałych*, co nazywano zakładaniem kolonii.

Ten porządek zakładania nowych miast *czynił posiadanie zdobytego kraju pewniejszym dla zwycięzcy*, miejsca niezaludnione napełniał mieszkańcami i utrzymywał w prowincjach ludność należycie rozmieszczoną: skutkiem tego ludzie, dogodniej w danej prowincji mieszkając, więcej się rozmnażali, byli bardziej skorzy do natarcia i pewniejsi w obronie. Zaginięcie tego zwyczaju, wywołane złym stosowaniem go przez książąt i republiki, stało się przyczyną zniszczenia i nędzy prowincji: on to bowiem czyni mocarstwa bezpieczne a ziemie — jak wyżej powiedziano — utrzymuje należycie zaludnione.

Bezpieczeństwo stąd pochodzi, iż kolonia, umieszczona przez księcia w kraju, *świeżo przezeń opanowanym, jest jakby twierdzą i strażą, która strzeże wierności ludzi miejscowych.* I nie dałoby się inaczej utrzymać prowincji równomiernie w całości zamieszkałej, aniby wytrwali w niej mieszkańcy należycie rozmieszczeni, gdyż nie wszystkie w niej miejscowości są jednakowo żyzne i zdrowe, skąd pochodzi, że w jednych ludzie gromadzą się licznie, a braknie ich w innych. Jeśli więc nie znajdzie się sposobu odciągnięcia ich z miejsca, gdzie jest ich nadmiar i osadzenia tam, gdzie ich brakuje, w krótkim czasie opustoszeje ta prowincja, jedna jej część bowiem stanie się z niedostatku mieszkańców — pusta, a inna, z ich nadmiaru — uboga.

A ponieważ natura nie może temu nieporządkowi zaradzić, musi to uczynić przemyślność ludzka. Wszakże okolice niezdrowe stają się zdrowymi, gdy je zajmie odrazu wielka gromada ludzi, którzy ziemię czynią zdrową przez uprawę, a powietrze oczyszczają ogniskami, czego natura nigdy by uczynić nie mogła. Dowodem tego jest miasto Wenecja, wzniesione w miejscu dla zdrowia szkodliwym i błotnistym, które zdrowym uczynili liczni mieszkańcy, jacy się tam równocześnie zbiegli. Również Piza wskutek szkodliwości powietrza nigdy nie była prawdziwie zaludniona, aż dopóki Genua i jej wybrzeża nie zostały spustoszone przez Saracenów, a ludzie, z tej przyczyny wygnani z ziemi ojczystej, nie zgromadzili się tu w takiej liczbie ,że uczynili to miasto ludnym i potężnym. Gdzie niema zwyczaju tworzenia kolonij, tam kraje podbite z największą trudnością tylko dają się utrzymać, nie zaludniają się ziemie puste, a te, które są przeludnione, nie mogą się pozbyć swego ciężaru: stąd też wiele krajów na świecie, a najwięcej w Italii, opustoszało, w porównaniu z dawnymi czasami.

Wszystko to było i jest wynikiem tego, że książętom brak pragnienia prawdziwej sławy, a republikom — jakichkolwiek porządków, godnych pochwały. W dawnych zaś czasach dzięki koloniom mnogie miasta nowe powstawały i rozrastały się już istniejące: wśród nich była Florencja, która z Fiesole wzięła początek a przez kolonie wzrosła."

„Głębokie i z natury wynikające nieprzyjaźnie, które istnieją między ludem i szlachtą, wywołane przez chęć rozkazywania jednych a niechęć do posłuszeństwa drugich, są przyczyną wszystkiego zła, jawiącego się w mieście, gdyż z tej różności usposobień wyrasta wszystko, co zamieszanie czyni w Rzeczypospolitej.

To właśnie Rzym trzymało w rozdwojeniu, to — jeśli dozwolonym jest porównywać rzeczy małe z wielkimi — utrzymywało w rozdarciu Florencję, chociaż skutki w jednym i drugim mieście wypłynęły stąd różne. Niesnaski, które wprzódy były w Rzymie między ludem i patrycjuszami, rozstrzygano w słownej dyspucie, we Florencji natomiast w walce orężnej; w Rzymie spory kończono prawa wydaniem, we Florencji zaś wygnaniem i śmiercią wielu obywateli; wzmacniały one w Rzymie cnotę rycerską, a niweczyły ją we Florencji; przywiodły Rzym wreszcie od równości obywatelskiej do całkowitej nierówności, gdy we Florencji niezgody doprowadziły to miasto od nierówności do niezwykłej istotnie równości.

Niewątpliwie różność celów tych dwóch ludów była przyczyną takiej rozmaitości skutków: lud rzymski bowiem pragnął razem z patrycjuszami korzystać z najwyższych zaszczytów, lud florencki natomiast o to walczył, by sam mógł pozostać u steru władzy, od uczestniczenia w której chciał możnych usunąć. I ponieważ pragnienie ludu rzymskiego było rozsądniejsze, ciosy możnym zadane łatwiejsze były do zniesienia: patrycjusze bez uciekania się do broni ustąpili i po kilku zwadach zgodzili się na prawo, które lud zaspokoiło a ich przy zaszczytach utrzymało. Z drugiej strony żądanie ludu florenckiego niesłuszne było i obelżywe; szlachta, przygotowując swą obronę, wytężyła wszystkie siły i wynikły stąd dla wielu obywateli wygnanie i przelanie krwi, prawa zaś, które potem wydano, ułożone były nie dla wspólnego dobra, lecz dla pożytku zwycięzców.

Widzimy więc, że przez zwycięstwa ludu Rzym wzrastał, gdy bowiem plebeje obok patrycjuszy mogli stanąć w urzędach, wojsku, zarządzie Imperium, tym samym duchem co tamci zostali ożywieni i państwo wzmagało swe siły i swą potęgę. Lecz we Florencji po zwycięstwie ludu szlachta pozbawiona została urzędów, a chcąc je odzyskać musiała nie tylko stać się, ale wydawać się podobną do ludu z zachowania, ducha i trybu życia.

Poszły za tym zmiany odznak i tytułów rodów, co czyniła szlachta aby udać mieszczańskie pochodzenie. I tak dzielność bojowa i wspaniałość ducha, które były w szlachcie, zanikły, a nie mogły rozpalić się na nowo w ludzie, bo ich tam nie było i Florencja stawała się coraz bardziej pokorna i nędzna.

I jak Rzym, gdy jego dzielność i duma przemieniły się w pychę doszedł do terminów takich, że bez księcia utrzymać się dłużej nie mógł, tak Florencja do tego stopnia osłabła, że doświadczony prawodawca mógł jej narzucić ustrój jakiby chciał. Rzeczy te łatwo można zrozumieć przeczytawszy poprzednią księgę, w której ukazaliśmy narodziny Florencji i zaczątek jej wolności oraz przyczyny rozdwojenia, a także opowiedzieliśmy jak fakcje ludu i możnych zakończyły się tyranią księcia Ateńskiego i ruiną szlachty".

Dr. J. Siecińska.

---

*) Zamieszczone ustępy z „Dziejów Florencji" Machiavellego ukazują się po raz pierwszy we współczesnym przekładzie polskim.

NA CZASIE.

KRADZIEŻ DUSZ

We Lwowie powstało ostatnio Zjednoczenie Polaków Ziemi Czerwieńskiej. Żywioł polski, siedzący od wieków na tej ziemi, doszedł do wniosku, że dalsze trwanie stanu dekompozycji i skłócenia byłoby zbrodnią wobec interesów narodowych i że tylko konsolidacja bez różnicy przekonań politycznych może stanowić skuteczną tamę przeciwko ekspansji nacjonalizmu ukraińskiego. Na terenie Małopolski Wschodniej wytworzył się bowiem taki paradoksalny stan rzeczy, że żywioł ukraiński jest stroną atakującą na szeregu odcinków, żywioł zaś polski znajduje się w stanie wyraźnej defenzywy.

Na wytworzenie tego stanu rzeczy wpłynął niewątpliwie szereg przyczyn. Gdy na ratuszu lwowskim po pamiętnych bojach zawisł białoczerwony sztandar, wielu mogło się wydawać, że wszystko już zostało osiągnięte, i że reszty winna dokonać władza państwowa. Przyczyniła się do tego w wielkiej mierze niewłaściwie pojęta t. zw. „ideologia państwowa", chrzcząca mianem „nacjonalizmu polskiego" wszystkie przejawy prężności narodowej, od której w ostatecznym wyniku zależy polskość terenu. Znaleźli się ludzie, którzy posiwiałym w walkach o polskość działaczom tłumaczyli z całą powagą, że nie potrafią oni myśleć kategoriami państwowymi, i że ich „nacjonalizm" jest rzeczą przestarzałą, zdrożną i zgubną. Ile to wywołało cichych tragedyj i załamań — wie o tym najlepiej miejscowe społeczeństwo.

Życie wykazało dobitnie, kto z tych „narodowców" i rzekomych „państwowców" miał rację. Stosowana do niedawna metoda wykazała niedwuznacznie, że ofenzywie młodego i zdolnego narodu można przeciwstawić tylko siłę tej samej kategorii. Że nie wystarczy tu tylko starostwo, posterunek policji i oddział B. G. K. W dalszym ukształtowaniu się stosunków obecny atak nacjonalizmu ukraińskiego odegra więc rolę dodatnią.. Będzie on tym szczupakiem w stawie, którego obecność nie pozwoli zgnuśnieć okoniom i sandaczom. Obudzi on naturalną prężność narodową, rozwieje resztki złudzeń, obudzi śpiących, otworzy oczy ślepym.

Pierwszym warunkiem skutecznej walki jest jednak dokładne poznanie metod przeciwnika. Mało kto w centralnej i zachodniej Polsce zdaje sobie sprawę, że jedną z przyczyn wzrostu ukraińskiego stanu posiadania jest całkiem zwyczajna k r a d z i e ż d u s z. Odbywa się to w ten sposób, że wskutek małej ilości parafii rzymsko - katolickich, ludność polska zmuszona jest z wielu wypadkach zaspakajać swe potrzeby religijne w cerkwiach grecko-katolickich.

Skutkiem tego nowonarodzone dzieci, pochodzące z małżeństw rzymsko - katolickich, przede wszystkim mieszanych, chrzczone są często w cerkwi grecko - katolickiej. Parochowie mają zasadniczo obowiązek przekazywania tego rodzaju metryk właściwemu proboszczowi parafii rzymsko - katolickiej, czego jednak nie czynią z zasady. Proboszczowie zaś rzymsko-katoliccy, dla których ten problem nie ma cech wyznaniowo-religijnych, jako uregulowany przez unię kościelną, niedostatecznie przypilnowują tej sprawy, tak, że dziecko zapisane początkowo tylko tymczasowo w księgach metrykalnych grecko - katolickich, jest uważane z czasem za wyznawcę tego kościoła i zobowiązane do nauki religii według tego wyznania i w języku ukraińskim. Tego rodzaju fakty są na terenie trzech województw południowo-wschodnich niezmiernie liczne, tak, że w niektórych wsiach ilość ludności rzymsko - katolickiej, a co za tym idzie polskiej, gwałtownie maleje.

Jak wielka jest cyfra tych spraw powstałych na skutek kradzieży dusz, trudno jest oszacować, nadchodzące jednak z terenu dane posiadają swoją wymowę. Tak więc, naprz. we wsi Dyczków, powiatu tarnopolskiego, stwierdzono nazwiska około 60 dzieci polskich, które zostały ochrzczone w cerkwi. We wsi Dubszcze, powiatu brzeżańskiego, wynarodziło się w ten sposób 63 polaków, w Kalnem — 50, w Kosówce — 62, w Krzywem — 97, w Teofipółce — 15, w Uwsiu — 470.

We wsi Denysów, liczącej 3 tys. mieszkańców pochodzenia szlacheckiego, niemal wszyscy mieszkańcy na skutek powyższej procedury ulegli rutenizacji, jakkolwiek dokumenty parafialne niezbicie potwierdzają polskie ich pochodzenie.

W Kutkowicach, powiatu tarnopolskiego, nie ochrzczono w kościele ani jednego dziecka, mimo, że istnieje tam kaplica rzymsko - katolicka, jednak bez stałego księdza.

W Białej, powiatu tarnopolskiego, podobnie nie ochrzczono w ostatnich czasach ani jednego dziecka w wyznaniu rzymsko-katolickim, pochodzącego z małżeństwa mieszanego.

Niech fakty tego rodzaju otworzą oczy tym, którzy nie potrafili dotąd zrozumieć właściwego znaczenia słów: „Zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska".

Stanisław Werner.

MYŚLI
ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

„Bo kto chce, by Naród tworzył, by naród szedł w górę, by naród rósł w potęgę, by spełniał swą misję — ten musi sięgnąć w serca, zmienić, podnieść duszę, przetworzyć ospałość życia ludzkiego. A tego nie dokona filozofia, słowo, hasło. Dokonać tego może tylko praca. Ona jest tym jedynym sakramentem, który nawiązuje kontakt człowieka z rzeczywistością, ona pozwala tę rzeczywistość kształtować".

* * *

„Ma Naród Polski w sobie swoiste źródło: zdolność wydobywania pracą zbiorowej siły moralnej. Na tej drodze kształtuje się w Polsce społeczność, — na tej więc drodze wskazaną jest u nas budowa wiary, kultury, gospodarstwa, porządku społecznego i państwa.

Ale nie istnieje żaden gotowy wzór, żaden „budowniczego abrys". Wzory te otrzymać można tylko z dnia na dzień, z roku na rok, a raczej z wysiłku na wysiłek.

Bo i sama siła owa moralna rozkwita tylko wobec zadań wielkich: w promieniach woli i pracy"

PROSIMY O PODANIE NAM ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM NALEŻY PRZESŁAĆ NUMERY OKAZOWE PŁOMIEŃCZYKA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Warszawa, Dobra 2 m. 84. PRENUMERATA: rocznie 3 zł., półrocznie 1 zł. 50 gr. Konto PKO. 4.425.
Redakcja i Administracja czynna we wtorki i czwartki od godz. 17 do 18.

Wydawca: **Stanisław Mikiciuk.** Redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Sowiński.**

Sal. Szkoła Rzem., Dział Grafiki, Warszawa, Ks. Siemca 6, Tel. 5-37-72.